



**KATARZYNA  
SZEWIOŁA-NAGEL**

**OBNAŻONE  
TWARZĘ  
ZABOJCÓW**



**SAGA**  
EGMONT

Katarzyna Szewioła-Nagel

# **Obnażone twarze zabójców**

Saga

*Obnażone twarze zabójców*

Zdjęcie na okładce: Shutterstock  
Copyright © 2021 Katarzyna Szewioła-Nagel i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728028100

1. Wydanie w formie e-booka  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)  
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

## **Boston 5 marca 1770 roku.**

Chyląca się ku końcowi zima nikogo nie nastrajała pozytywnie. Pogoda zachowywała się niczym rozkapryszona kochanka. Raz z nieba lał się deszcz, innym razem wilgotna mżawka. Brudne kopy śniegowego błota szpeciły zaułki. Rzadko na niebie pojawiało się rozedrgane, blade słońce. Skwerem biegła młoda kobieta. Spod okrycia nasiąkniętego kroplami mżawki, wystawał dół sukni oraz upaprane czubki trzewików. Sprawnie wymijała przechodniów, którzy zobojętniali na przechodniów, gnali pchani ku własnym sprawom.

Zwykle o tej porze siedziała już w domu. Prowadzenie podwójnego życia nie było łatwe. Za dnia zajmowała się krawiectwem. W nocy przeobrażała się w jedną z zabójczyń współpracujących z kręgiem asasynów. Każdy wysoko urodzony, bogaty czy kupiec, trzymał w podorędziu płatnego zabójcę. Owi mordercy zrzeszali się w tajnym stowarzyszeniu określanym przez wielmoży – kartelem, chociaż woleliby nazywano ich – dziećmi mgły. Kontaktowali się za pomocą wyszkolonych posłańców, a także poprzez siatkę przemytników czy burdeli. Ci sprytniejsi ukrywali wiadomości w kapliczkach za świętymi figurami, w specjalnie do tego przygotowanych otworach.

Słońce wznosiło się wyżej. Mżawka ewoluowała w deszcz ze śniegiem. Biegnąca kłęła pod nosem. Podeszwy ślizgały się po gruncie. Czas gonił. Przemoczona przystanąła i pobieżnie zlustrowała okolicę. Jeszcze kilka uliczek. Weźmie szybką kąpiel i uda się po sprawunki.

Odsunęła wilgotny kosmyk włosów i zerknęła na zachmurzone niebo. Poprzez ciężar chmur zauważała nieśmiałe przejaśnienia. Przez myśl przemknęło, że przyjaciółka pewnie odchodzi od zmysłów.

Obcasiki trzewiczków zastukały po bruku. Zatrzymała się przed drzwiami, na których wywieszono karteczkę, informującą, że manufaktura zaprasza dopiero w godzinach popołudniowych.

No tak – pomyślała. – Rosa beze mnie nigdy nie otwiera pracowni.

Odwróciła się. Tuż przy niej pojawiło się dwóch mężczyzn odzianych w czerwone mundury oddziałów wojskowych, zwane potocznie „czerwonymi

kurtkami”. W myślach odnotowała odległość oraz stan uzbrojenia. Wyglądali na rześkich.

Koralowe usta odsłoniły zęby. Spróbowała wyminąć żołdaków.

– Co panienka taka zdyszana? – Przerwali jej kroki.

Wsunęła dłonie w poły płaszcza, ukrywając uwalane krwią palce.

– Spieszno mi, panie.

Żołdak zastąpił jej drogę.

– A dokąd to, jeśli można wiedzieć? – Ta dociekliwość budziła w niej rozdrażnienie.

– Robota na mnie czeka, panie. – Starła się brzmieć uprzejmie.

– A gdzie to panienka pracuje? – Nie dawali za wygraną.

– Tutaj. – Kiwnęła głową w stronę warsztatu. – Jestem krawcową.

Przepuść mnie, panie. Już i tak jestem spóźniona – odparła.

Nienawidziła „czerwonych kurtek”.

– Tutaj? – Odsunął się, robiąc miejsce. – Ależ proszę bardzo. – Rosły żołdak zmrużył oczy.

Przeszła na tyły. Z ulgą dotarła do schodków prowadzących na zaplecze. Obejrzała się za siebie.

Nie odpuścili.

Sięgnęła klamki. Drzwi się rozwarły. Rosa, jak zawsze rumiana na pulchnych policzkach, przywitała ją, pocąc się obficie.

– Nareszcie – pisnęła. – Panienka tak spóźniona, żem od zmysłów odchodziła. Już chciałam wzywać gwardzistów. – Niewinnie zerknęła na mężczyzn.

– Ale już jestem.

Przyjaciółka zamachała gorączkowo rękami.

– Niechże panienka już wchodzi! Co panienka tak na progu stoi? Miała panienka wiele szczęścia, że panowie panienkę odprowadzili. Niebezpiecznie samotnie spacerować po ulicach. I na Chrystusa, niech panienka mi da te przemoczone ubranie. Zaziębi się panienka i co będzie? – szczebiotała z przejęciem.

Kobieta z trudem stłumiła śmiech.

– Oczywiście, droga Roso. Przepraszam. Obiecuję, że to się już nie powtórzy. Panowie. – Skinęła na mężczyzn.

Odkłonili się i odeszli w sobie tylko wiadomym kierunku.

– Uff, mało brakowało. Dziękuję ci – rzuciła do niewiasty.

– Drobiazg, Laro – odparła Rosa, normalnym już głosem. – Następnym razem mogę nie zdążyć. Dobrze, że szłam po imbryk.

– Jak zawsze masz wspaniałe wyczucie czasu. – Podała jej płaszcz. – Pani de Burdoux była już po zamówienie?

– Nie, ale przysłała służkę z halką do naprawy. – Rosa mrugnęła znacząco. – Wiesz jaki w alkowie jest jej mąż – ściszyła głos. – Pomocnica nawet nie zwróciła uwagi na wywieszoną kartkę. Waliła w drzwi, jakby świat zaraz miał się skończyć.

– Tak, tak wiem... małżonek równie gwałtowny co ona. – Lara westchnęła znużona. – Potem się tym zajmę. Teraz muszę... – Pokazała przyjaciółce dłonie. – Cuchnę. Nienawidzę doków. Będę się szorowała do południa. Mówię Ci! – Skrzywiła się ze wstrętem.

– Cuchniesz jak połowa tego miasta – odparła Rosa, zgarniając imbryk ze stolika. – Ach, zapomniałabym. – Zatrzymała się w pół kroku. – Dostarczono wiadomość od kapitana Raniera.

Żrenice Lary rozszerzyły się z ekscytacji.

– Niebawem zawinie do portu. Posłaniec był bardzo tajemniczy. – Wzruszyła ramionami.

– Dziękuję. Położyłaś ją tam gdzie zwykle?

– Tak. – Machnęła dłonią. – Idź już. Z rana rozpałam w piecu. Woda powinna być jeszcze ciepła. Pospiesz się. Niedługo trzeba otworzyć pracownię. Zdążysz?

– Myślę, że tak.

– Przygotuję coś na ząb. – Odeszła kołysząc biodrami.

Lara wspięła się na pięterko. Poranny deszcz ze śniegiem sprawił, że materiał nasiąknął nie tylko wodą, ale i błotem wymieszanym z cuchnącą breją dokowego rynsztoka. Marzyła o czystym przyodziewku i ablucji.

Rzadko wykonywała zlecenia w kobiecym odzieniu. W sukni gorsetowej trudno się wspinać. Zleceńdawczyni jednak błagała, by pozbyła się „kłopotu” w wysublimowany sposób. Zabójstwo winno wyglądać na wypadek. Zarówno jak niewierny mąż, tak i rezolutna małżonka należeli do zacnego grona kupców. Cudzołożnik lubił zapuszczać

się w obskurne rejony. Więc właśnie tam przytrafił mu się „nieszczęśliwy wypadek”. Pozostawiła go martwego w burdelowym łożu wyściełanym atlasowymi poduszkami.

Z ulgą pchnęła drzwi prowadzące do łazienki. Przyjemne ciepło uderzyło w nią, łagodnie pieszcząc zmarznięte policzki. Wreszcie chwila tylko dla niej. Bez pościgów, podrzynania gardeł, trucia oraz tkwienia w bezruchu. Suknia wylądowała na podłodze.

Zanurzyła dłoń w garnku stojącym na piecu. Cofnęła palce, woda była bardzo ciepła. Obok Rosa przezornie ustawiła wiadro z zimną, zaś przy wannie szafeczkę z mnóstwem szufladek, na której zostawiła mydło, gąbkę i złożony w kostkę duży, szarawy ręcznik. Pod ścianą, na toalecie dostrzegła starannie poskładane dzienne odzienie. Przybyła również nowa buteleczka perfum. Powąchała. Zapach lawendy zakreślił w nosie.

– To na pewno nie dla mnie. Nie znoszę tego zapachu – powiedziała do siebie i odłożyła flakonik na miejsce. – Że też ma tak beznadziejny gust – mruknęła.

Poczuła duchotę. Uchyliła okienko.

– Idealnie – westchnęła, napawając się chwilą.

Napełniła wannę. Rozkoszne ciepło opływało skórę. Po długiej chwili otworzyła oczy i wychyliła się z wanny, sięgając do szuflad. Wonny olejek rozlał się leniwe po powierzchni.

– Tak lepiej. – Odłożyła flakonik na miejsce.

Oddała się błogostanowi samotności.

Usłyszała szuranie. Usiadła, nerwowo się rozglądając. Odgłosy na pewno nie dochodziły zza drzwi, a już tym bardziej nie z parteru. Sięgnęła po ręcznik, kiedy to okienko, rozwarło się, a zza zasłony wyłoniła się głowa druha po fachu – Rina. Zanurzyła się w wodzie.

Mężczyzna wśliznął się do środka.

Lubiła go, ale niespodziewane wizyty, działały jej na nerwy. Pojawiał się jak cień. Znikał równie szybko. Należał do ludzi, którzy nie mitrzą czasu na czcze pogawędki. Dla niego liczyły się konkrety. Toteż nie odzywała się pierwsza. Czekala na jego inicjatywę.

Uniosła powieki. Zabójca nadal trwał w tym samym miejscu. Pojęła, że odwiedziny do przypadkowych nie należą.

Podszedł do toaletki, zabrał stojące przed nią krzesło i postawił obok wanny. Usiadł bez słowa i ubłocone buty oparł o jej brzeg, tuż na wysokości głowy kobiety.

Tego było za wiele!

Zepchnęła je z impetem, wlepiając weń wielkie, błękitne oczy. Gdyby wzrok mógł ranić Rin już dawno miałby pooraną twarz.

– Co ty, do cholery, wyczyniasz? – oburzyła się.

– Odpoczywam – odparł.

Odwróciła głowę.

– Przesadziłeś.

– Pewnie nie pierwszy i nieostatni raz.

– W to nie wnikam – rozzłościła się. – Czemu zawdzięczam tę wizytę?

– Niczemu konkretnemu.

Zanurzyła się głębiej, zasłoniwszy nagość. Widywał ją w różnych sytuacjach, ale intymność to intymność. Nawet zabójcy posiadają cień wstydu.

– Nie martw się. Nie patrzę – burknął, kiedy spostrzegł, że próbuje się okryć.

– Patrzysz – syknęła.

– Jak mówię, że tego nie robię, to znaczy, że nie robię. – Przeniósł wzrok na ścianę, na której wisiał obraz przedstawiający nadobną, ciemnowłosą damę o bujnych kształtach.

Spojrzenie Lary podążyło za nim. Westchnęła widząc z jaką uwagą przygląda się dziełu.

Cóż... Była przeciwieństwem.

Krucha blondynka o prostych niczym struny włosach i wielkich błękitnych oczach. Zwykle nosiła stroje z długimi rękawami. Ciało ją zdradzało. Poznaczone bliznami ręce mogły skutecznie odstraszyć potencjalnych adoratorów.

Nie od dziś wiadomo, że w kręgu asasynów obracali się nie tylko mężczyźni, ale i kobiety, nierzadko skuteczniejsze od nich. Niewiastom-zabójcom żyło się gorzej. Jednocześnie uczyła się szycia i rzemiosła. Mistrz niestrudzenie wpajał w umysł Lary techniki walki wręcz, zachowania równowagi oraz podstawy trucicielstwa. Rosa zaś miała na celu wyszkolić



na czarującą szwaczkę. Jak na dokowego przybłądę i koniokrada, Lara wyszła na ludzi. Choć nie o takim życiu marzyła.

– Powiesz po zaszedłeś? Masz jakie wieści? – rzuciła.

– Nie mam wieści. Miałem za to ciężką noc. Z pewnych źródeł wiem, że ty również.

– A niby skąd? Wróble na płotach ćwierkały? – burknęła pod nosem.

– Nazywaj to sobie jak chcesz. – Wyciągnął się na oparciu. – Wiem i już.

Po chwili jęknął i wrócił do poprzedniej pozycji.

Lara nie dosłyszała skargi. Sięgnęła po ręcznik i wyszła z wanny, szczelnie się nim owijając.

– Będziesz tu tak siedział? – zirytowała się.

– Mogę posiedzieć, choć wolałbym ci coś pokazać.

– A jednak nie szukasz jedynie towarzystwa – skwitowała. – Wiesz, że nie mam czasu. Muszę otworzyć sklepik. Rosa sama tego nie zrobi. Nie znosi być sama. Przerażają ją te uperfumowane i upudrowane elegantki z wyższych sfer.

– Wiem.

– Nadal więc będziesz się upierał, że chcesz mi coś pokazać?

Nachyliła się nad mężczyzną. Jego śniadą twarz zdobiło wiele blizn, częściowo zakrytych przez ciemne, sięgające ramion włosy. Głęboko osadzone, czarne oczy wpatrywały się w nią niewzruszenie. Rin nigdy nie okazywał emocji. Zawsze taki sam. Zdawało się, że nie ma rzeczy, których nie miałby pod kontrolą. Nie wiedziała ile ma lat. Czasami żywiła ochotę wymierzyć mu policzek, aby sprawdzić, czy zareaguje w jakikolwiek sposób. Musiała jednak przyznać, że nosił w sobie coś pociągającego. Być może była tym owa niedostępność? Może ciemne oczy utkwione teraz w jej twarzy? A może coś zgoła odmiennego?

Wiedziała, że jest jednym z najdłużej żyjących asasynów. Większość przeważnie umierała młodo. Zuchwałość i brawura nie sprzyjały żywotności. Zwykła nazywać młodzików – szczeniakami. Co nierzadko nie podobało się zarówno im, jak i szkolącym ich mistrzom.

Poprawiła zsuwający się ręcznik.

– Mówił ci ktoś, że jesteś niepoprawny? – zagaiła.

– Owszem – odrzekł w zamyśleniu. – Nadal nie masz ochoty na mały spacer... po dachach naszego pięknego miasta? – Wyczuła nutę sarkazmu. Jakby chciał nim podkreślić, jak bardzo nienawidzi tego miejsca.

– Utknąłeś tu podobnie jak ja... – zaczęła łagodnie. – ... dlaczego nie odejdziesz? Przecież nic cię tu nie trzyma.

– Trzyma.

– Co?

– Nieważne. To nie czas na sentymenty.

– To nie sentymenty. – Wyprostowała się. – Pytam tylko. To przecież nic wielkiego.

– Zależy dla kogo.

– No tak. Ty przecież masz zawsze tajemnice.

– Bez tajemnic bylibyśmy martwi.

– Jak zawsze masz rację. Dlaczego ją zawsze masz?

– Bo mogę ją mieć.

– Meh... – Przysiadła na brzegu wanny. – Jesteś męczący. Mówiłam ci to już?

– To może spacer?

– Dlaczego... – zawahała się. – No dobrze. – Odpowiedziała po chwili namysłu. – Pójdę z tobą na ten spacer. Tylko wezmę rzeczy. W tych – wskazała na toaletkę – daleko nie zajdę.

Na wargach Rina pojawił się uśmiech. Nie dowierzała własnym oczom. Ten wiecznie ponury i gderliwy osobnik okazywał cię zadowolenia. Może nie jest aż tak zły? – zastanowiła się. Nieraz przebywała w jego towarzystwie. Kilkakrotnie przyjął na siebie cios przeznaczony dla niej. Osłonił i utorował drogę ucieczki oraz inne rzeczy, których dla siebie nie robią zabójcy.

Odwzajemniła grymas:

– Pospieszę się – rzuciła, wychodząc z pomieszczenia.

Przemierzyła wąski korytarzyk. Na jego końcu znajdował się pokój, wciśnięty pomiędzy lokum Rosy, a schowek na szczotki. Na toalecie dostrzegła zalakowany list od Raniera. Na samą myśl o kapitanie zrobiło się jej gorąco. Rok temu przeżyła z nim płomienny romans. Już miała sięgnąć po korespondencję, kiedy przypominała sobie o Rinie.

– A niech to – mruknęła. – Będziesz musiał troszeczkę poczekać.

Pospieszenie założyła obcisłe spodnie, koszulę oraz kurtkę, w której ukrywały się potrzebne drobiazgi. Zrzuciła kaptur, chowając twarz w jego cieniu.

Zastała go stojącego przy oknie

– Gotowa? – Odwrócił się mierzając ją od stóp do głów.

Skwasiała wargi:

– Rosa mnie udusi, wiesz o tym.

– Wiem, ale chyba się jej nie boisz, prawda?

– A co jeśli wyznam, że jest przerażająca, kiedy się złości?

– A co jeśli powiem, że obronię cię własną pierśią przed tą rozjuszoną lwicą? – zażartował, a w ciemnych oczach pojawił się błysk przekory.

Tęsknie zerknęła na wannę pełną jeszcze ciepłej wody.

– Będzie się wściekać, potem przesoli zupę, a jak zechcę herbatę to mi ją złośliwie przesłodzi... i to będzie twoja wina, pamiętaj. – Wskazała go palcem, niczym obnażonym sztyletem.

– Baby... wy to macie sposoby na zemstę... – zakpił.

Wzruszyła ramionami i powoli podeszła do mężczyzny.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Odwróciła wzrok speszona. Poczowała dziwny dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa, a potem niespodziewany ucisk w okolicy mostka. Przełknęła nerwowo ślinę.

Rin dostrzegł rumieniec, który na chwilę odmalował się na jej porcelanowej skórze. Migiem zniknął jak trucizna, wychyłana wraz z kielichem czerwonego wina. Tak, truła go. Truła niewinnością i delikatnością, której brakowało wielu kobietom. Od chwili, kiedy wyciągnął ją z rynsztoka do teraz. Działała jak opium. Uzależnił się.

– Idziemy? – Odsunął zasłonę i wyjrzał na ulicę.

Nikogo nie było w pobliżu. W oddali zauważył tylko kilku podrostków ciągnących rozklekotany wózek oraz kobiety rozmawiające na rogu ulicy.

– Prowadź, o zacny. – Ukłoniła się teatralnie, dłonią wskazując wyjście.

Jednym susem znalazł się na wewnętrznym parapecie, potem zewnętrznym i zanim zdążyła wziąć oddech, zniknął z pola widzenia. Zrobiła dokładnie to samo. Kiedy podciągała się na rękach, zobaczyła go na przeciwnym krańcu dachu, swobodnie opartego o komin. Podeszła,

zwracając uwagę gdzie stąpa. Nie odwrócił się ku niej. Nie musiał. Podmuch wiatru zatargał jego włosami. Odsunął kilka nieznośnych kosmyków, po czym palcem wskazał na port.

W oddali majaczył dobrze znany Larze kształt. Uśmiechnęła się niewymuszenie.

– Ranier – powiedział oschle.

– „Czarny Anioł” jak zawsze piękny. – Spojrzała na towarzysza. – Dostałam dziś do niego wiadomość, ale jeszcze nie przeczytałam. W sumie nie wiem dlaczego tego nie zrobiłam.

– Powinnaś. – Odsunął się od komina. – Takich rzeczy się nie zostawia. Może to coś ważnego? – zwrócił uwagę.

– Od kiedy to się martwisz o moje prywatne interesy? – drażyła.

– Od zawsze. – Niespodziewanie pochylił się ku niej.

Utonęła w przepastnych oczach Rina i zachłysnęła się jego zapachem. Przez krótką chwilę czuła, że chce ją pocałować... Serce zabiło szybciej, bezwolnie rozchyliła usta.

Pieszczotliwie przesunął wierzchem dłoni po jej policzku.

– Ruszajmy – mruknął gardłowo.

Odbił się od komina i zniknął z pola widzenia. Zobaczyła go na przeciwnym budynku. Swobodnie przemieszczał się pomiędzy balkonem, a ostatnim piętrem. Poszła jego śladem.

– Że też miast normalnego spaceru, wybrał mozolną wędrówkę po dachach kamienic... – burknęła pod nosem.

Rin wdrapał się na szczyt domu i zgiął wpół, łapiąc za bok. W duchu przeklinał zlecenie. Ofiara okazała się sprytniejsza. Jasno wynikało, że w szeregach znajdował się donosiciel. To jego Rin miał go zlokalizować. Tropy prowadziły w jednym kierunku. Zabójca się przeliczył. Popełnił błąd. Rana zapiekła boleśnie. W duchu prosił Boga, by krew nie przesiąkła przez materiał.

– Zdradzisz dokąd mnie prowadzisz? Bo to port nie jest. – Lara przystanąła obok.

Wcisnął dłonie w kieszenie kurtki:

– Od rana, przed budynkiem Giełdy Królewskiej zbierają się koloniści, którzy sprzeciwiają się brytyjskim rządóm. Szef kazał rzucić na to okiem.

Kazał zabrać cię ze sobą, pomimo moich usilnych protestów, dodam. Nie czuj się wyróżniona.

– Jakbym śmiała – prychnęła.

– Protestują przeciw ciom. Opróżniają kieszenie szybciej niż whisky w portowych spelunach. Podobno jest dosyć... nerwowo. Mamy to sprawdzić i w razie czego zareagować. Nie mieszałbym się w to, ale to moje zdanie.

– Umywasz ręczki od polityki? Od kiedy? – Uniosła brew.

– Polityka to gówno – powiedział dosadnie.

Poczuła się dziwnie. Nigdy tak do niej nie mówił. Był gburem, ale nie aż takim.

– Chyba powinniśmy się napić czegoś mocniejszego i nie mam na myśli herbaty z rumem, która jest ulubionym trunkiem Rosy.

– Potem. Musimy się tam dostać. Nie mogą nas zobaczyć.

– Rzadko kiedy nas widzą. Zapomniałeś już? Rin? Jesteś tam? – popatrzyła na niego zaskoczona.

Mężczyzna pobladł, a na jego skroniach pojawiło się kilka kropel potu. Oczy, które jeszcze przed chwilą przeszywały na wskroś, teraz wydały się jej zamglone i zmęczone.

– Rin! Co z tobą?

– Tak, tak – oprzytomniał. – Obmyślam najkrótszą drogę, wybacz.

– Już myślałam, że upadniesz. Dobrze się czujesz?

– Tak, wyśmienicie. Chodźmy. – Złapał w płuca porządny haust zimowego powietrza.

Po chwili przemierzali dachy bostońskich domostw. Szło im to zaskakująco... wolno.

Rin zostawał w tyle. Musiała zwolnić, by wyrównywał. Co rusz pomocnie wyciągała w jego kierunku dłoń, ale ją odtrącał. Po czym wybierał prostszą drogę.

Zdyszani dotarli na miejsce. Przed budynkiem rzeczywiście zebrała się spora grupa kolonistów. Ryczeli niczym rozjuszone zwierzęta. W stronę Brytyjczyków szybowały kule brudnego śniegu. Nerwowość wzrastała w szeregach tłuszczy jak i „czerwonych kurtek”.

Lara posłała Rinowi porozumiewawcze spojrzenie.

Skinął i sięgnął w poły kurtki. Wydobył kilka noży i ułożył przed sobą. Miał złe przeczucia. Rwanie w boku niemalże odbierało mu rozum. Załatwię to i odpocznę – pomyślał, ukradkiem ścierając z czoła krople potu. Naciągnął kaptur, zasłaniając twarz całkowicie.

Kobieta przesunęła się wzdłuż dachu, kucając na jednym z jego krawędzi. Obluzowane dachówki złowieszczo zachrząściły pod podeszwami. Przełknęła ślinę, złapała równowagę i się przyczaiła.

Ludzie nie zdawali sobie sprawy, że obserwowani są przez dwóch zabójców z gildii asasynów. Toczyli prywatną wojnę przeciw Brytyjczykom, cłom i kontyngentowi żołnierzy, którzy od jakiegoś czasu stacjonował w mieście.

Na placu przybywało rozjuszonych tłuszczy. Rozwścieczona ciżba, która składała się w krzyczących mężczyzn i kobiet. Przy budynku zaczął formować się mur brytyjskich żołnierzy. Oni również czuli gorączkę, która przelewała się przez zgromadzonych. Wzmocniona straż z bronią przygotowaną do strzału, trwała w równych odstępach. Wystarczyłby rozkaz, a w stronę kipiszu, zostałyby posłana salwa.

Rin nie ukrywał, że to, co rozgrywało się poniżej nie wyglądało dobrze. Zerknął na dziewczynę, która niczym gargulec, tkwiła przycupnięta na rogu dachu. Widział jak w skupieniu obserwuje ludzi.

Lara, nie miała ochoty na starcie. Nie znosiła broni palnej, nawet jej nie posiadała, była dla niej zbyt głośna. Choć wielu im podobnych doskonale posługiwało się muszkietami i pistoletami. Oni jednak pozostali wierni swoim ostrzom.

Rin się skupił, odpychając od siebie myśl o ranie. Wypatrzył kilka znajomych twarzy. Skupił się więc na odszukaniu jeszcze kilku. Wspominano mu, że ma pojawić się jeden z kupców, którego szczerze nie znosił, a na którego niedawno pojawiło się zlecenie – tak bardzo przyjemne dla kieszeni. Zabójcy zależało na celu. Nagroda znacznie przewyższała standardowe kwoty. Nabrał głęboko powietrza.

Podszedł do dziewczyny. Kucnął za nią i zsunął z głowy okrycie. Przyjemny chłód omiół rozpalone czoło.

– Nie odwracaj się – nakazał, kładąc jej rękę na ramieniu.

Nie chciał, by na niego patrzyła, by zauważyła, że zniknęła nagle surowość i oschłość, a pozostał jedynie ból.

– Jak sobie chcesz – odburknęła.

– Widzisz kogoś znajomego?

– Tak. Po lewej stoją Maverick i Monk. Jest też twój ulubieniec – Ravens. Tam. – Wskazała głową kierunek.

Spojrzał w dół. Rzeczywiście, tłusty kupiec stał nieco oddalony od reszty. Towarzyszyło mu trzech osiłków ubranych w brązowe kurtki. Znajdował się za daleko, by dosięgło go ostrze. Nie czuł się zaś na tyle dobrze, by niezauważonym dostać się do ofiary. Ale mogła dokonać tego Lara. Była na tyle szybka, że powinna zlikwidować go, zanim obstawa zdążyłaby się zorientować. Z drugiej zaś strony, nie chciał jej narażać. Żadne pieniądze nie są warte życia kogoś... kogo się kocha...

Skrzywił się. Żadnych sentymentów – przywołał się do rozsądku. Poniechał pomysł.

– Przysięgam, że wykończę go w najbardziej wyszukany sposób, jaki tylko przyjdzie mi do głowy. – Odsunął się od kobiety i wrócił do poprzedniej pozycji.

– Chciałabym to zobaczyć. Wiem, że masz... fantazję. – Zachichotała cicho.

– Gdyby nie ci... – zaczął i urwał.

Usłyszeli pojedynczy strzał, potem przerażony krzyk. Tłum zafalował i się cofnął. W ułamku sekundy wściekli bostończycy zaczęli ciskać w Brytyjczyków gradem śmieci i kawałkami lodu.

– Nie strzelać! – Rozległo się od strony oddziału stojącego przy budynku Giełdy Królewskiej. Lecz miast się powstrzymać, zdezorientowani żołnierze otwarli ogień w kierunku protestujących.

Lara zerwała się i podbiegła w miejsce, gdzie Rin wcześniej ułożył kilka ostrzy. Przeklinała, że nie zabrała własnych. Pochwyciła pierwsze i skoczyła na balkon znajdujący się poniżej dachu. Stamtąd był świetny widok na Ravensa.

– Stój! – Usłyszała dobiegający z tyłu głos Rina.

Zignorowała go.

Ześliznęła się na gzyms i z finezją przesunęła się po nim, po czym wskoczyła na daszek kolejnego. Jeszcze chwila i będzie w stanie wykonać celny rzut. Obliczała odległość, siłę i ułożenie stali.

Już chciała zeskoczyć na kolejny balkon, kiedy szarpnięcie spowodowało, że wylądowała na plecach. Zerwała się i doskoczyła do przeciwnika. Przed nią stał Rin. Błady i spocony, prawą rękę unurzaną we krwi, która na lewym boku przesiąkała przez kurtkę. Zatoczył się.

– Co, do cholery? – jęknęła podtrzymując go przed upadkiem.

– Zostaw – wydyszał, upadając na kolana.

– Trafili cię? Jakim cudem?!

– Nie oni – odparł z trudem.

– Zatem kto i kiedy? – Rozejrzała się niespokojnie.

– W nocy. – Przycisnął rękę do boku. – Chodźmy stąd zanim zrobisz jakąś głupotę. – Zmusił się do wyprostowania.

– Niby jaką? – Pomogła mu wstać.

– A choćby spróbujesz wyeliminować tego wieprza, co się tak na niego hardo zasadzasz.

– Za Ravernsa jest niezły worek złota, nie przepuszczę okazji. Mam wydatki.

– Jak my wszyscy. – Zakaszłał, a w kąciku ust pojawiła się krew.

– Na Boga! – Pociągnęła go za sobą, schodząc z budynku.

Musiał polegać na jej wsparciu. Czuł się kiepsko. Nie tylko dlatego, że ból ograniczał ruchy, a dlatego, że zdany został na łaskę kogoś, kogo nigdy by o to nie poprosił. Nie chciał jej litości, ani tym bardziej pomocy. Budował w jej oczach obraz zabójcy, którego nie jest w stanie osiągnąć nic prócz... tej cholernej, zabłąkanej kuli.

– Chodź – usłyszał.

Ciemne plamy zatańczył pod powiekami. Osunął się na ziemię.

– Rin! Nie tutaj! Wstawaj, bo nas jeszcze ktoś zobaczy!

– Zostaw mnie... idź do domu – powiedział cicho.

– Ani mi się waż tak gadać. No już! Podnoś dupsko, albo ci w nie zasadzę soczystego kopa! – cedziła.

– Zostaw!



Nerwowo rozejrzała się wokół, po czym kucnęła, ciskając z oczu snopem iskier.

– Nawet teraz jesteś uparty – prychnęła. – Nie mogę cię rozgryźć, wiesz? Czemuś nic nie powiedział?

– Nie... – wydusił z trudem. – Nie chciałem cię martwić.

– Naprawdę? Chyba się przesłyszałam! Wstawaj, do cholery, albo cię na plecach zawlokę. I mam w dupie czerwone kurtki! No dawaj!

– Już... już, koniec. Przestań zachowywać się jak Rosa.

– Co? Osz ty... – mruknęła. – Jak możesz być taki...

– Jaki? – Uniósł powieki z trudem patrząc w jej załzawione oczy.

Traciła kontrolę nad emocjami. Za dużo jak na jeden dzień. Nocne problemy, poranne zatrzymanie, potem rajd po dachach, teraz to... wszystko nie tak, jak zaplanowała. I po co? Po to, by musiała patrzeć na śmierć kogoś bliskiego, bliższego niż Rosa... ?

– Proszę – jęknęła. – Nie tutaj. Nie w rynsztoku.

– A gdzie? – szeptał bladymi wargami. – Gdzie lepiej zdychać takim jak my?

– Nie tutaj – powtórzyła.

Poddał się. Nie miał ani sił, ani argumentów. Ogłuszający ból szarpał każdym nerwem. Czuł chłód. Najpierw zdrętwiały nogi, potem ręce. Głowa stawała się ciężka, jakby ktoś upchał pod czaszką spory zapas ołowiu.

Lara odchodziła od zmysłów. Nerwowo lustrowała otoczenie, kuląc się za każdym razem, kiedy usłyszała zbliżające się kroki. Ludzie krzyczeli. Strzały przecinały powietrze. Stukot obcasów echem niósł się po zaułkach. Przeklinała los. Mogła nie wychodzić, z tej cholernej wanny. Przeczuwała, że coś się święci. Zdradzają to oczy, drobne gesty, przelotne wykrzywienia warg. Jakby bezdźwięcznie chciały rzec coś ważnego. W obecności Rina czuła ukojenie. Irytował i denerwował, a jednak sprawiał, że pomiędzy złością a rozdrażnieniem następowały chwile ciszy. Ciszy, która była balsamem. Nie mogła pozwolić mu umrzeć.

Spróbowała podnieść towarzysza. Nadzieja gasła z każdą sekundą. Kroki wypełniły uliczkę. Zesztywniała i skuliła się, ciałem osłaniając Rina. Ktoś złapał ją pod pachę i odciągnął. Zorientowała się, że nie ma się czego obawiać. Widok znajomych twarzy niósł spokój.

– Zabierzcie go. Zanieście do pracowni. Rosa was wpuści.

– Idź – usłyszała. – Spotkamy się na miejscu, ale nie tędy. – Zabójca wskazał aleję. – Wróc tą samą drogą, która tu przybyliście. My pójdziemy tędy. Już! Co tak stoisz! Wynocha! – podniósł głos.

Przytaknęła.

Wiedziała którądy się udadzą. Nie nosili na sobie ubrań gildii. Wyglądali na pomocników sklepikarza. W przeciwieństwie do Rina, no i jej. Może ich strój nie różnił się od pospolitych, to nosił dyskretne znamiona kręgu. Spostrzegawczy wiedzieliby kim są. Nie umknął jej uwadze jeszcze jeden szczegół. Nosila spodnie... Kobiety nie zakładały tej typowo męskiej części garderoby. Musiała więc pozostać niewidoczna.

Wspięła się na dach budynku, pokonując kilka balkonów. Z góry bez przeszkód widziała, co działo się na placu. Dostrzegała czerwone kurtki, ludzi szarpiących się z żołnierzami oraz przepychających pomiędzy sobą. Z niedowierzaniem patrzyła jak jej rodzinne miasto zamienia się w pole walki.

Wróciła myślami do Rina. Obwiniła się za brak spostrzegawczości. Była przekonana, że jest niezniszczalny. Teraz wszystko stawało się klarowne, rzeczywiste i namacalne. Wspólne zlecenia, pilnowania tyłków, osłanianie... Zaślepiona przygodnymi miłostkami, nie dostrzegała niczego prócz siebie. Liczyła się przyjemność i dreszcz emocji. Stałość była nudna, teraz się bawiła. Poznawała swoje ciało. Kawałek po kawałeczku, rozkoszując się podnieceniami, o których dobrze wychowana panna nie zwykła mówić na głos. Kochankowie ją zaspokajali. Drażnili tę strunę duszy, która łaknęła nowości. Uzmysłowała sobie, że tyle przegapiła, tylu nie rozszyfrowała, pozwoliła im szeznać w obojętności i zaślepieniu.

– Głupia – zasyczała do siebie.

Ostatni dach pokonała niemalże na kolanach. Niezrozumiały ból toczył ją od środka i potęgował się przy każdym kroku. Wiedziała, że ten dzień nie skończy się dobrze, że czerwona łuna zachodzącego słońca nie tylko krwawo rozświetli dachy. To stanie się namacalne, tak żywe, że będzie mogła zanurzyć w tym rękę, czując na palcach lepkość krzepnącej posoki.

Już była prawie na miejscu. Jeszcze tylko jeden skok.

Z ulgą dopadła drzwi. Przebiegła korytarz.

W łazience przywitała ją Rosa. Nie odezwała się słowem. Zgromiła ją tylko, po czym wyszła, zabierając ze sobą misę i bandaż.

Lara zatrzymała się wpół kroku, jakby chciała coś zrobić, ale zapomniała co to miało być. Zrzuciła z grzbietu kurtkę i wybiegła na korytarzyk. W holu zobaczyła tych samych mężczyzn, którzy zabrali Rina.

Ze szczytu schodów śledziła, jak przyjaciółka powoli schodzi na parter. Pognała za nią przeskakując po kilka stopni.

Wewnątrz pokoju panował półmrok. Przecisnęła się w stronę łóżka. Leżący na nim oddychał ciężko. Zdążyli go rozdziać do połowy lecz nadal miał na nogach ubłocone spodnie i buciory.

Nieznane wcześniej uczucie, płynące wprost z głębi umęczonego serca, nakazywało zajęcie się rannym. Obowiązek? Nie, to nie był obowiązek. To była chęć ratowania ukochanej osoby.

– Wynocha! – krzyknęła. – Poradzę sobie.

Odsłoniła zasłony.

Przyjaciółka chciała zaprotestować, ale widząc wyraz jej twarzy zrezygnowała.

Obecni mężczyźni opuścili pomieszczenie.

Krawcowa chciała także odejść.

– Rosa! – zatrzymała ją w drzwiach. – Przynieś mi, proszę, jeszcze bandaż. Jest za mało. – Wskazała na misę i gałgany leżące obok pościela. – I poślij po medyka!

– Już to zrobiłam. – Uśmiechnęła się cierpko.

Gniew zaczął się z niej ulatniać, niczym przekłuta szpilką bańka. Miast niego pojawił się strach. Poczowała jak dłonie zaczynają się trząść, a ślina w ustach gęstniała, tworząc nieprzyjemną maź oblepiającą język. Musiała się czegoś napić. Gorączkowo rozejrzała się wokół, ale nic prócz butelki rumu nie znalazła. Odkorkowała trunek i wychyliła flaszkę, wlewając w siebie porządny haust. Alkohol zapiekł. Zakaszła i otarła usta wierzchem dłoni. Była gotowa.

Podeszła do łóżka, odstawiając butelkę na stoliku. Wtedy wróciła Rosa. Niechętnie, ale ją wyprosiła. Chciała zostać sama. Nie wiedziała czy Rin śpi, czy jest nieprzytomny. Obserwowała jak jego klatka piersiowa unosi się i opada w niemiarym tańcu życia i śmierci. Odgarnęła kosmyki z jego

twarzy. Nieznacznie zareagował na jej dotyk. Uchylił powieki i spojrzał zamglonym, półprzytomnym wzrokiem. Ostrożnie przemywała ranę. W jej wnętrzu nadal tkwiła kula. Nie próbowała jej wydobyć. Nie potrafiła. Musiała cierpliwie poczekać na pomoc.

– Widzisz – rzekła cicho. – Nie umrzesz w rynsztoku. Nie pozwoliłabym na to... Nigdy!

Nie odpowiedział. Mięśnie na jego twarzy jedynie zadrgały. Wiedziała, że zrozumiał.

Miejsce postrzelenia było opuchnięte i tkliwe. Za każdym razem wzdrygał się, kiedy dotykała tej okolicy. Nie przypominał siebie. Śniada skóra nagle straciła swój ton. Nie wiedziała czy ma się rozplakać, czy zostać niewzruszona. Targały nią sprzeczności.

Świat rozmazał się przed oczami. Nie pamiętała czy zemdląca, czy może ktoś ją ogłuszył. Obudziła się skulona na drewnianej podłodze. Na zewnątrz panował mrok. Obok łóżka ktoś postawił świecę, która zdążyła się już wypalić do połowy. Podbiegła do towarzysza. Jego brzuch ktoś dokładnie zabandażował. Przez materiał przebijała się krwawa smuga wysączonej krwi. Dotknęła jego czoła. Wysuszone na wiór usta szpeciły twarz. Westchnęła. Jej dotyk go zbudził. Chyba czuł się lepiej. Wibrująca cisza zawisła między. Kiedyś miała mu tyle do powiedzenia. Otwierała usta próbując coś rzec. Na próżno. Niepewnie ujęła dłoń Rina. Od razu poczuła się lepiej.

– Już jest dobrze – usłyszała.

– Nie, nie jest. – Zacisnęła palce na jego nadgarstku.

– Chciałem mieć cię tylko dla siebie – zaczął. – Ale byłaś nieosiągalna. Należałaś do świata, który cię kreował. Płynełaś na falach wzburzonego morza. Było tylko to, co znajdowało się przed tobą. Reszta się zatracala. Nie widziałaś, że jestem zawsze krok za tobą. Zawsze gotowy, by ochronić przed niegodziwością. Nie pozwalałem ci się rozwinać. Nie pozwalałem upaść. Nie pozwalałem poczuć smaku porażki. Przepraszam.

– Co ty mówisz? Nic z tego nie rozumiem! – jęknęła.

– Dobrze rozumiesz – wyszeptał, zamykając powieki. – Bardzo dobrze rozumiesz.

Ukryła twarz w dłoniach i załkała. Nie chciała, by widział, jak dosięga dna rozpacz. Po raz pierwszy od bardzo dawna płakała szczerze. Nie były to wymuszone, teatralne łzy, którymi raczyła ofiary. Teraz płynęły grubymi wstęgami, moczając policzki.

– Jesteś moim... nie wolno ci... nam... nie wolno nam nawet myśleć...

– Wolno. Wszystko nam wolno. Nie pamiętasz? Nie pamiętasz jak powiedziałem kiedyś, że nasze życie jest ulotne. Skazane jedynie na cierpienie? – Przemawiał cicho, łapczywie chwytając powietrze.

– Pamiętam.

– A jednak mnie słuchałaś. – Uśmiechnął się z trudem.

– Zawsze słucham, choć czasem jesteś cholernym gburem. – Głośno pociągnęła nosem.

– Nie byłbym sobą, gdybym nim nie był.

Posłała mu pełne współczucia spojrzenie. Ponownie ujęła jego dłoń i odważyła się spojrzeć w oczy. Jej policzki nadal były mokre, choć przestała już płakać.

– Chodź. – Wyciągnął w jej stronę wolną rękę. – Chodź, połóż się obok mnie. – Ciemne oczy intensywnie wpatrywały się w nią. Jakby od spełnienia prośby zależało życie ich właściciela.

Zmieszała się, ale uczyniła o co prosił. Objął ją ramieniem. Złożyła głowę na jego piersi. Otoczyła ich intymność jakiej nigdy w życiu nie zaznali. W skupieniu wsłuchiwała się w miarowe bicie serca Rina. Chciała wpleść palce w jego włosy, a twarz obsypać setkami pocałunków. Bała się jednak. Nadal stanowił tajemnicę, choć rozszyfrowywała przezeń wypowiedziane słowa. W drobnych złośliwościach doszukiwała się ukrytych znaczeń. Przywoływała echa gestów, ukradkowych spojrzeń, dotyku. Całość układała się w spójność. Klęła w myślach.

– Przepraszam – przerwała ciszę.

– Za co? – spytał.

– Po prostu przepraszam...

– Śpij – odrzekł. – Rano zaczniesz od początku. Musisz być wypoczęta.

– Tylko jedną rzecz mam zamiar zacząć od początku – skwitowała. – Nas. Nadal tu będę i ty też.

Miała gdzieś, że Rosa zastanie ją w ramionach Rina. W sumie to tego chciała. Od teraz koniec dogrywania róleń. Jutro nastanie nowy, lepszy dzień. Wszystko się poukłada. List od Raniera spali. Tak spali przeszłość. Będzie się liczyło tu i teraz. Koniec ze skrytobójstwem, koniec z zabijaniem. Poczekaj aż Rin wydobrzeje, wsiądą na statek i odpłyną. Dokąd? Byle jak najdalej. Koniec, czas spać. Wtuliła się w mężczyznę.

Rin czuł jak zasypia. Poglądził ją po plecach i zamknął oczy. Wiedział, że nie dotrwa do świtu. Czuł, że życie, którego się tak kurczowo trzymał, gaśnie. Czas okuty w kościste palce kostuchy nieubłaganie wyciągał w jego stronę swe obmierzłe łapska.

Jeszcze chwilę... – błagał w duchu. – Daj mi nacieszyć się jej ciepłem, jej widokiem... potem możesz mnie zabrać gdzie chcesz, nawet na samo dno piekła – mówił szeptem. – Jeszcze chwilę...

Biała mgła zasnuwała źrenice. Ostatni wydech, ostatnie uderzenie serca, ostatni zapach przed śmiercią... ostatni... Nie walczył. Niech jest właśnie tak. Bezpiecznie i cicho. Niech tak właśnie jest...

Larę obudziło ostre zimowe słońce. Usiała.

Nowy początek – pomyślała.

Zerknęła w stronę rannego.

– Rin, mamy ranek. Jest pięknie – szepnęła mu do ucha.

Nie drgnął.

– Rin?

Skóra stężała. Nie była jeszcze lodowata, ale nie należała już do żywej istoty.

– Rin! – Potrząsnęła nim. – Rin! Obudź się, do cholery!

Odszedł.

Podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież:

– Rosa! – Krzyknęła.

U szczytu schodów pojawiła się pulchna kobieta, otulona wełnianym szalem.

– Rosa! – Ponowiła wołanie.

– Idę przecież. – Ziewnęła, zasłaniając usta.

– Idź po... – Lara załkała, a po chwili jej szloch przemienił się w pełen gorący płacz. – Idź po szefa.

Nie musiała mówić nic więcej, Rosa zrozumiała.

Chwilę potem do jej uszu dobiegło trzaśnięcie drzwiami.

Wróciła do gabinetu. Na twarzy Rina odmalowywał się spokój. Przysiadła obok. Szafka z dekoktami znajdowała się w zasięgu ręki. Sięgnęła do schowka. Szkło błysnęło pomiędzy palcami.

– Tylko jedną rzecz mam zamiar zacząć od początku – szepnęła płaczliwie, układając się obok Rina. – Nas. Gorycz podrażniła gardło. – Pójdę za tobą wszędzie...

Katarzyna Szewioła-Nagel

Korekta: Patrycja Żurek